

HISTORIA I KULTURA ZIEMI SŁAWIEŃSKIEJ

Tom XV

HISTORIA I... HISTORIE
Z ZIEMI SŁAWIEŃSKIEJ



HISTORIA I KULTURA ZIEMI SŁAWIEŃSKIEJ

T. XV

FUNDACJA „DZIEDZICTWO”

HISTORIA I KULTURA ZIEMI SŁAWIEŃSKIEJ

TOM XV

Historia i... historie z ziemi sławieńskiej

Redakcja:

WŁODZIMIERZ RĄCZKOWSKI
JAN SROKA

SŁAWNO–DARŁOWO 2023

Włodzimierz Rączkowski, Jan Sroka (eds.), *Historia i kultura Ziemi Sławieńskiej*, t. 15: *Historia i... historie z ziemi sławieńskiej* [History and Culture of the Sławno region, vol. 15: History and... stories from the Sławno region]. Fundacja „Dziedzictwo”, Sławno–Darłowo 2023, pp. 317, figs 51, tables 6. ISBN: 978-83-957115-5-8. Polish texts with German summaries.

© Copyright by Włodzimierz Rączkowski, Jan Sroka 2023

© Copyright by Authors

Na okładce: Artur Segal, *Most w Darłótku*, olej, 1925 rok, 69,2 × 90,2 cm

Tłumaczenia na język niemiecki: *Brigida Jerzewska*

Redaktor: *Katarzyna Muzia*

Skład i łamanie komputerowe: *Eugeniusz Strykowski*

Publikację wydano przy finansowym wsparciu Urzędu Miejskiego w Darłowie

Wydawca/Herausgeber: Fundacja „Dziedzictwo”,
76-100 Sławno, ul. Mielczarskiego 7/5

ISBN 978-83-957115-5-8

Druk/Druck: Drukarnia „BOXPOL”, 76-200 Słupsk, ul. Wiejska 25
tel. 48 59 8424371 email: boxpol@post.pl, www.boxpol.pl

Moje sławieńskie lata

JERZY GAŚIOREK (GORZÓW WIELKOPOLSKI)

Mam 81 lat. Zapytany, jakie lata swego długiego życia wspomina najcieplej, bez wahania odpowiadam, że lata 1948–1954, czyli czas dzieciństwa spędzonego w Sławnie (dawnym Schlawe). Mieszkałem tam zaledwie sześć lat, ale tam ukończyłem szkołę podstawową (nr 2), tam byłem ministrantem, stamtąd poszedłem do Seminarium w Słupsku, a zatem wciąż blisko mojego miasta. Mimo powojennej biedy był to czas dziecięcych bez trosk zabaw: latem kopanie piłki, zimą jazda na nartach i łyżwach, wyjazdy nad morze do pobliskiego Darłowa.

Sławno. Mój pierwszy kontakt z miastem, wtedy jeszcze pełnym gruzów, ale przecież z brukowanymi ulicami, sklepami, kinem (!), do którego tak chętnie biegalem, piękną szkołą z halą sportową i boiskiem z bieżnią, z odkrytym basenem z trampoliną, urokliwym kanałem, po którym pływałem kajakiem, wreszcie ze wspaniałym dworcem z trzema zadaszonymi peronami, które często oglądałem z warsztatu (stolarni) ojca... No i jeszcze pierwsze prawdziwe przyjaźnie, poznawanie sympatycznych ludzi – znajomych rodziców..., wymieniać by jeszcze wiele.

Wszystko wtedy zdawało mi się piękne.

Szkoda jeno, że ów czas minął bezpowrotnie.

Gorzów 4.01.2017 r.

Dzieciństwo w Sławnie¹

Pamiętam
choć dawno to było
(Jerzyk mnie wołano)
kochała mnie mama
wciąż zapracowana
i tata w kolejańskim mundurze
o złotych guzikach

¹ Gaśiorek 2002: 10–11.

pamiętam brata
w takiej dziwnej czapce
z zawodowej szkoły
siostrę co na mnie skarżyła
pamiętam szkołę
z licowanej cegły
i drogę do niej
przez most nad
płytkim kanałem
pamiętam warsztat ojca
zaraz za torami
sapiące parowozy
tunele dworcowe
ścieżkę na skrót
przez zwały gruzowisk
szyldy o dziwnych literach
na sklepowych ścianach
pamiętam huśtawkę przy
parkanie ze solidną bramą
renety i grusze
w poniemieckim sadzie
pamiętam kościół
wielki i zimny
(wtedy nie wiedziałem
że to piękny gotyk)
braciszka Jana
w czarnym habicie
co grał na gitarze
pamiętam trochę przydługie
niedzielne nieszpory
i wciąż za krótkie
poranki kinowe
łyżwy i kąpiel
w lodowatej wodzie
jazdę pod rama
na brata rowerze
Janusza i Cześka
z nimi w piłkę grałem
która wciąż nam grzęzła
w gęstym żywopłocie
pamiętam ciepło
kaflowego pieca
zapach podłogi
smak metki
i kompotu z dyni
pamiętam jeszcze...
jak szczęśliwy byłem!

Tata²

Na stacji w Sławnie
miał ojciec stolarnię
pachniała klejem
i żywicznym lasem
co spod hebla
słał mu się pod nogi
złotymi wstęgami
na gwoździach i półkach
narzędzia dziwadła
tam jako chłopiec
z radością chodziłem
wybierałem klocki
najróżniejszych kształtów
budowałem z nich
zamki miasta całe
i swoje marzenia
by dorównać ojcu
co złote miał ręce

W Sławnie po latach³

Wspomnienia odżyły
ze zdwojoną siłą
kiedy znów stanąłem
w mym dzieciństwa domu
wszystko jakby mniejsze
mniej chyba powabne
...
to z tego okna
wypatrywałem kolegów
po tych schodach
wbiegałem do swego pokoju
tu wisiał ten obraz
z kwiatami w wazonie
a tam zegar tykał
i czas mniej poganiał
....
w pokoju nie ma już pieca
przy którym grzałem dłonie
kiedy z nart wracałem
nie ma już Mamy i Taty
w najpiękniejszym domu

² Gąsiorek 2002: 3.

³ Gąsiorek 2007: 6.

W Sławnie⁴

In Schlawe przy Schulstrasse
mieszkał Gunter Thim
kiedy miał lat dziewiętnaście
wysłano go z armią na wschód
nigdy już nie wrócił do Sławna
chodzę jego ulicą
która Grottgera się nazywa
próbując odgadnąć
z którego domu wybiegał co dzień
na pobliski rynek
albo do fary na mszę poranną
może nad rzekę co opodal płynie
kto teraz mieszka w jego pokoju

Drogi W.⁵

A teraz opowiem Ci o Sławnie, w którym spędziłem pięć kolejnych lat. Moje bodajże najpiękniejsze. Nie pomnę momentu przeprowadzki. Zapewne było to w wakacje, bo do trzeciej klasy chodziłem już tam właśnie, do pięknej murowanej (z licowanej cegły) i piętrowej szkoły, wybudowanej w latach 20. XX wieku.

Zamieszkaliśmy w bliźniaczym domku przy ulicy Słonecznej 6. Po śmierci Stalina zamieniono tę piękną nazwę na ulicy 8 Marca (sic!) (to święto kobiet). To całe osiedle podobnych domków na krańcu miasteczka, między drogami na Koszalin i Polanów. Wchodziło się do domu po kilku kamiennych stopniach od strony podwórza. Od sąsiada odgradzał nas murowany chlewik, szopa, w której hodowaliśmy świniaka, kury i króliki w oddzielnej klatce. W tej przybudówce był również ustęp (ubikacja). Ale woda była już w kranie. W domu korytarz, kuchnia, dwa pokoje, z korytarza wejście do piwnicy (dwukomorowej), gdzie składowaliśmy opał, słoiki i beczki z kapustą, ogórkami, często i z mięsem. Nad wejściem do piwnicy schody na piętro (poddasze). Tu niewielki pokój z uchylnym okienkiem i duży pokój z oknami wychodzącymi w szczybie, z widokiem na ogród. W kuchni piec na węgiel, w pokoju w narożu piec kaflowy, jedna jego ściana wychodziła na drugi pokój (sprytnie pomyślane). W nich paliło się jedynie zimą. Większość czasu zatem spędzało się w kuchni; przy jednym stole jadło się, odrabiało lekcje, grało w gry planszowe. My, dzieci, mieliś-

⁴ Gąsiorek 2014: 36.

⁵ Gąsiorek 2018: 35–41.

my swój pokój na górze, duży, jasny, przestronny. W skosach dachu przy podłodze dodatkowe schowki, skrytki. Mądre rozwiązanie. Prawie przy każdym domu dość duży ogród sad. Altanki, szopki to już sprawa indywidualna. My akurat taką zastaliśmy. Moją ulubioną zabawą było wdrapywanie się na nią i skakanie na miękką trawę. W sadzie sporo drzew owocowych, głównie jabłoni. Ulice osiedla w owym czasie nie wszystkie były utwardzone. Na większości i na naszej sprawdzała się szlaka. Ruch pojazdów był wtedy znikomy, więc były w świetnym stanie. To były ciągi pieszo-jezdne, ograniczone żywopłotem. Wyglądało to znakomicie. Chodnik był przy ulicy Kossaka, to taka poprzeczna między Koszalińską a Polanowską. Na rogu teje i Kossaka piekarnia, do której chętnie zaglądaliśmy. To ciepło, zapach chleba. Rozwożono z niej takim konnym wozem na gumowych kołach z budą na wypieki do sklepów, ośrodków. Ulice Polanowska i Koszalińska wyłożone były małą kostką granitową. Do dziś słyszę stukot podków końskich po owym bruku, a przecież mieszkałem od tych ulic kilkaset metrów. Zimą jeździły po nich sanie. Pamiętam te przewożące dłużyce (nieokorowane bale). Chętnie doczepialiśmy do nich sanki (darmowy kulig), najlepiej cichaczem, by woźnica tego nie zauważył. Samochody wtedy przejeżdżały rzadko, częściej nieliczne motocykle (SHL-ki). Brat Leszek złożył sobie swój rower; rzadko pozwalał mi go dosiadać. Przy tej szosie mieliśmy swoje pole kartoflane. Wykopane kartofle przewoził Tata w workach na rowerze, przerzucając je przez ramę. Nieco dalej w stronę Polanowa zaczynał się mały podjazd. Szosa wchodziła w las. Tu sporo małychgórek. Wykorzystywaliśmy je do zjazdów na sankach czy nartach. Urządzaliśmy tam nawet małą skocznię. Oprócz nart i sanek jeździliśmy naturalnie na łyżwach, takich z żabkami przykręcanymi specjalnym kluczem do podeszwy butów. Podeszwy często się odrywały, ku przerażeniu rodziców. Dobry but to duży wydatek. Pamiętam, że Mama obuła mnie w swoje wysłużone kozaczki. Rozmiarem nieco za duże, w przód wkładało się watę lub papier. Krępowwały mnie te buty, bo z tyłu miały nieco podwyższone obcasy. Buty nosiło się też po starszym bracie. Latem biegaliśmy w trampkach lub tenisówkach. Pamiętam, że nawet do I Komunii Świętej (to właśnie w trzeciej klasie) szedłem w szarych tenisówkach, siostra w białych. Przystępowaliśmy równocześnie, mimo że byłem o rok i dwa miesiące młodszy. Przygotowanie do teje w kościółku pw. św. Antoniego (piękny, z lat 30. XX wieku). Przechodziłem obok niego prawie co dzień, idąc do szkoły. To mały skrót. Polna dróżka zakończona drewnianym mostem nad kanałem, który łączył się za młynem z rzeką Wieprzą. Drugi i trzeci mostek nad tymże był nieco dalej. Ale to jedyna droga prowadząca do tej pięknej szkoły, za nią równie piękna i funkcjonalna hala sportowa. Tuż za nią wymiarowe boisko do piłki

nożnej, obwiedzione bieżnią, po której się ścigaliśmy na lekcjach wychowania fizycznego (wtedy mówiło się gimnastyki). Na ów stadion zabierał nas nieraz Ojciec na mecze piłkarskie. Z jednej strony na całej długości boiska były drewniane ławy. Lubilem te wycieczki z Ojcem. Idąc na mecz, kupował nam lody czy karmelki, a w majowe święto nawet parówkę. Na wspomnianej sali mój starszy brat Leszek trenował boks, wówczas dość popularny. Ja zrezygnowałem po dwóch treningach.

Ojciec. Wysoki, szczupły, przystojny, wesoły, niestroniący od kielicha. Tu w Sławnie, podobnie jak w Karwicach, miał swój warsztat. Wejście od uliczki z tyłu stacji. Na perony można było przejść przez tory. Ach, co to była za stacja. Duża, ceglana, aż z trzema peronami zadaszonymi. Schodziło i wchodziło się na nie tunelem (wykafelkowanym) i szerokimi schodami. W pierwszych latach na podeście, w połowie schodów, była jeszcze specjalna budka, dodatkowa kontrola biletów. Ze Sławna można było jechać do Szczecina i do Gdańska, ale i do Darłowa. Przed wojną były również tory na Korzybie, Bytów, przez Polanów. Za moich czasów pociągi już tam nie jeździły. Pozostały jedynie nasypy kolejowe, które przekraczaliśmy, idąc do lasu na narty czy sanki.

Wspomniany warsztat Ojca. Jak on pięknie pachniał wiórami (heblowano ręcznie), politurą, mniej ciekawie klejem stolarskim. Każdorazowo Ojciec pozwalał mi wybierać ścinki, klocki różnych wymiarów i kształtów. Nic dziwnego, że na pracach ręcznych dostrzegano moje domowe prace. Pamiętam, że chętnie budowałem podmalowane zagrody, wioski z papierowymi zwierzętami, ale i słupami elektrycznymi. Często do warsztatu zajeżdżałem jednokołową taczka albo dwukołowym wózkiem, dość ciężkim. Wracałem obładowany workami z wiórami i ścinkami, które tak znakomicie nadawały się na podpałkę, ale i workami z węglem. Dziś przypuszczam, że Ojciec „wygospodarowywał” go po koleżeńsku, bo obok była parowozownia, nie pomnę, czy z obrotnicą. Za małą stolarską usługę zapewne „płacono” Ojcu węglem. To plusy pracy na kolei. No i zniżki biletowe, w tym bodajże trzy w roku zupełnie bezpłatne dla całej rodziny. Korzystaliśmy z tego, jadąc każdorazowo na wakacje w swoje rodzinne strony: do Granowca (gdzie wciąż stał nasz dom, częściowo zamieszkały), Garek – do ciotki Marysi i wuja Jana, najczęściej zaś do Krotoszyna (Salsnia, Osusz), gdzie z kolei mieszkały siostry i matka Ojca. Uwielbiałem te podróże, często nocne. Ów dym, sypiące się iskry, chłód powietrza przy otwartym oknie, ogrom światła na dużych stacjach, głos z megafonów, biegnący wzdłuż pociągu panowie w kitlach z wózkami, oferujący kanapki, ciastka i napoje, albo panowie z torbami wykrzykujący: „Piwo, lemoniada!”. I panowie w czerwonych czapkach z biało-zielonymi lizakami – to dyżurni. Jak to było niedawno.

Wracam do Sławna na ulicę Słoneczną. Sąsiedzi, przyjaźnie, koledzy. Większość ludzi tam mieszkających to przesiedleńcy zza Buga, jak na przykład Dudkowie, Cynglowie, czy z poznańskiego tak jak my, Borowscy czy Witczakowie (spod Jarocina).

Przyjaźniłem się szczególnie z chłopakami Dudków, Januszem i Cześkiem. Roman był nieco starszy. Starszym też był Janusz Feliński, który był jedynakiem i mieszkał dom dalej. Jego tata miał motocykl (ho! ho!), chyba SHL-kę. O dziwo Janusz bez prawa jazdy (kto by się tym przejmował) zabrał mnie jako pasażera do swej babci, która mieszkała w Bobrowicach, w kierunku Koszalina. Wtedy po raz pierwszy (10 lat) prowadziłem motocykl na bocznej polnej drodze.

Na dworzec szło się na skróty przez ulicę Daszyńskiego, obok domu naszych przyjaciół Witczaków (do dziś utrzymuję kontakt z żyjącą jeszcze córką Ireną), przez małe gruzowisko z czasów wojny (dziś stoi tam supermarket) do ulicy Koszalińskiej, pod długim wiaduktem, za nim skręt w lewo na ulicę Dworcową i już stacja z tymi charakterystycznymi kasami, przed którymi stoliczki na bagaż. Była chyba i przechowalnia bagażu, na pewno bar dworcowy. Rozkłady jazdy na obrotowych bębnoch. Przed dworcem chyba konne dorożki – ówczesne taksówki. Przed wspomnianym tunelem, z prawej strony na skarpie, wysoki dwupiętrowy budynek. Mówiono o nim, że tam straszy, ktoś się tam ponoć powiesił czy został zamordowany. Staraliśmy się mijać go w pośpiechu.

Do centrum miasta (w czasie wojny zburzonego⁶) można było dojść albo wspomnianą ulicą Koszalińską albo ulicą Polanowską. Zbiegały się one w miejscu, gdzie ustawiono stację benzynową, taką bez zadaszenia, pompa ze szklanym pojemnikiem, która odmierzała paliwo. Jakoś nie pamiętam tankujących tam samochodów. Były nieliczne zapewne i prywatne. Jeden z nich należał do księdza proboszcza Talarka. Stara DKF-ka, którą też potrafił prowadzić brat Czesław. To księża i bracia z zakonu Franciszkanów, ubrani na czarno. Oprócz proboszcza był i wikary, obsługujący również pobliskie wsie, między innymi kościół w Kwasowie (3 km w kierunku Polanowa). Jadąc z posługą, zabierali niekiedy kościelnego czy ministrantów. Pamiętam, że jakiejś zimy w niedzielę jechałem również do onego kościoła sankami doczepianymi do DKF-ki. Tak! Dziś niewyobrażalne. Przy ówczesnym ruchu było to możliwe. W zimnej kruchcie sprzedawałem skromne dewocjonaia.

Tak, byłem ministrantem. Oddanym, gorliwym. Biegałem z przyjemnością na poranne msze, roraty, nieszpory, Drogi Krzyżowe. Mniej zapewne z pobożności, bardziej z możliwości uczestniczenia w samym rytuale,

⁶ Centrum Sławna zostało zburzone w marcu 1945 roku przez Rosjan.

tak bogatym, tajemniczym. Wtedy, przed soborem (1962 rok), ksiądz odprawiał mszę przodem do ołtarza po łacinie. Ministranturę też „klepałem” po łacinie. Używam tego określenia, bowiem nie do końca rozumiałem jej treść. *Introibo ad altarae Dei... Confiteor...* I ten ubiór kapłana (dziś tak okrojony): alba, cingulum, humerał (chusta na piersi), manipularz (na lewym ręku, dziś zupełnie zapomniany), ornat, welon, kapa; a wszystko w różnych kolorach. Dzwonki, mszał, kadzielnica, patena do podstawiania pod brodę przyjmujących komunię. I jeszcze paramenty (kielichy, puszki, ciboria, ampułki, kij z knotem do zapalania świec, balaski, klęczniki) – wszystko to tak tajemnicze, ciekawe. I to stopniowanie, awansowanie w ministranturze. Najpierw jako początkujący, na końcu szeregu przy ołtarzu, potem wyżej, wreszcie w pierwszej parze usługującej kapłanowi w niedzielnej mszy. Duma, zaszczyt.

Kościół (fara) pw. NMP, wielki, gotycki, zimny, ostał się w czasie wojny, chociaż wymagał odbudowy (dach). Stał przy placu rynkowym. Kiedyś oddzielały go domy ustawione w czworobok. Po wojnie zachowały się nieliczne po drugiej stronie rynku. Zachowały się natomiast dość dobrze dwie gotyckie bramy (XIV–XV w.) – Koszalińska i Słupska. Nazwy świetnie określają kierunek ich posadowienia. Ja, idąc do fary, przekraczałem Koszalińską. W jej pobliżu restauracja i kino „Sława” w dawnej poniemieckiej sali restauracyjnej hotelu. Ciekawy budynek z terakotowymi zdobami.

Magia kina, po raz pierwszy oglądane filmy, najczęściej radzieckie. I te świetne kroniki filmowe; dla mnie, dziecka, był to świat zaczarowany, nowy.

Msze dla młodzieży odbywały się o dziewiątej rano, zazwyczaj jednogodzinne. W pośpiechu zdjęta komża i w te pędy do pobliskiego kina, by zdążyć na kronikę. W kasie taki wstępowy bilet, bodajże za 1,20 zł. Na salę wchodziłem zazwyczaj już po zgaszeniu światła.

Z ministranturą wiązało się i zimowe kołędowanie w towarzystwie oczywiście księdza, niekiedy organisty czy kościelnego. Wtedy przyjmowano księdza prawie wszędzie (choć były to czasy stalinowskie).

Na święta wielkanocne przygotowaliśmy, z udziałem całej rodziny, palemki z bibuły, bazi, bukszpanu. Uczestniczyłem też w jasełkach; raz byłem pastuszkim, raz królem. Gdzieś tam zachowały się zdjęcia. Za dobrą ministrantką służbę brat Jan zabrał nas na wycieczkę do Gdańska (pociągiem). Przyłapał nas na próbie palenia papierosów, długo się tego wstydzilem. Z Gdańska mniej pamiętam operę, bardziej jazdę tramwajem. Wtedy powszechna była jazda z otwartymi drzwiami, na stopniach, z możliwością wskakiwania i wyskakiwania z niego w biegu.

To chyba przez moje ministrantowanie, bliski kontakt z księżmi i braciszkami postanowiłem wstąpić do Niższego Seminarium Duchownego.

Wcześniej skończyłem siódmą klasę. Był rok 1954. W marcu roku 1953 zmarł Stalin. Na pewno nie płakałem, ale w uroczystym apelu brałem udział. Nie pomnę, czy nie kazano mi przygotować okolicznościowej gazetki. Zdradziłem się z plastycznymi zdolnościami i takich gazetek (bristol, literki, rysunki, wycinki) zrobiłem kilka. Pamiętam taką: „Wczoraj – dziś”. Wczoraj – prymitywna orka końmi, prymitywny warsztat. Dziś – traktor i dymiące kominny fabryk. Obecnie dymiące zakłady byłyby ukarane.

A propos kar, stosowano je za moich czasów. Lanie linijką po łapach, stanie w kącie, chyba też „ośle ławki”, przepisywanie po 50–100 razy: „Nie będę rozmawiał na lekcjach” itp., zostawianie w tzw. kozie, jakieś dodatkowe sprzątanie.

Nie było ani pedagoga, ani psychologa szkolnego. Była chyba higienistka. Mało popularne były wagary. A młodzież była różna. Zróznicowana wiekowo. Wiele dzieci w czasie wojny musiało przerwać naukę, więc w mojej klasie były dzieci o trzy–cztery lata starsze, wiele z domu dziecka. Dla krzewienia socjalizmu kazano nam śpiewać patriotyczne piosenki na akademiach, w szkole i w terenie. Pamiętam taki wyjazd z biało-czerwonymi i czerwonymi flagami i naturalnie śpiewami. Samochodem odkrytym (na pace), a może to był traktor z przyczepą, do jakiejś wsi (nie pamiętam jakiej).

O Sławnie, o tych wspaniałych latach, mógłbym w nieskończoność. Dla mnie, chłopca ze wsi, pierwszy kontakt z miastem, kinem, odkrytym basenem, brukowanymi ulicami, piętrowymi domami, sklepami, których zawartość chłonałem przez witryny okienne, zwłaszcza te z zabawkami, na które ani mnie (za kieszonkowe), ani rodziców nie było stać – to duże przeżycie. Warcaby, młynek, „człowieku nie irytuj się” – te były dostępne. Dlatego tak wiele czasu spędzaliśmy na łące, kopiąc piłkę, walcząc drewnianymi szablami czy popychając felgi. Zimą zaś zjeżdżając na sankach, nartach czy łyżwach. Ziębnięci, zziębnięci wracaliśmy do domu, zrzucając przemoczone ubrania i grzaliśmy się przy kaflowym piecu. Nikt nie marudził, nie wybrzydzał na jedzenie. Metka, kaszanka, dorsz to już było coś. Zazwyczaj chleb ze smalcem, margaryną, syropem czy zwyczajnie posypany cukrem to była normalka. Mięso pojawiała się w niedzielę, z piwnicznych zapasów czy zarżniętych kur lub królików. Ach, jakie to było pyszne!

Nie pamiętam szkolnych nauczycieli, zaledwie kilkoro kolegów i koleżanek. Z nauczycieli jedynie panią Morawską, wysoką, z dużym nosem; niezwykle sympatyczną. Uczyla rysunków, a ponieważ w tym byłem niezły, stąd pamięć o niej. Z koleżanek – Wandę Czyżewską. Zauroczyła mnie grubym warkoczem. I choć miała grube szkła okularowe, czułem do niej sympatię; a może dlatego, że była ładnie ubrana; mieszkała przy ulicy Kossaka. Pamiętam też Jankę Czerwińską. Dobrze się uczyła, była

zadbana, mama była lekarzem. Nie wiem, co się z nimi dzieje, czy żyją. Zazdrościłem chłopakom, którzy mieli rowery, skórzane pilotki, narciarskie buty.

Jak wspomniałem, niemal wszystkie sławieńskie wakacje spędzaliśmy u wujów w Garkach, częściej w Krotoszynie. Całe pełne wakacje. Żadnych wczasów, kurortów, a praca w gospodarstwie. To tam nauczyłem się orać, bronować, powozić końmi, układać stogi i fury z sianem i zbożem, wyrzucać obornik, karmić konie obrokiem, a krowy sianem i kiszonką.

Bibliografia

GĄSIOREK J. 2002. *Perony lez*, Gorzów Wlkp.: Sonar.

GĄSIOREK J. 2007. *Ja profan*, Gorzów Wlkp.: Magnum.

GĄSIOREK J. 2014. *A ja wciąż bez odpowiedzi*, Gorzów Wlk.: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna.

GĄSIOREK J. 2018. *Listy do praprawnuka*, Gorzów Wlkp.: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna.

Meine jungen Jahre in Sławno

Z u s a m m e n f a s s u n g

Heute bin ich 81 Jahre alt. Jedoch auf die Frage nach meinen schönsten Erinnerungen aus meinem langen Leben, gibt es nur eine Antwort, die Jahre meiner Kindheit 1948–1952 in Sławno (früher Schlawe).

Dort wohnte ich nur 6 Jahre, habe die Grundschule Nr. 1 besucht, war Ministrant. Anschließend habe ich das Priesterseminar in Słupsk, nicht weit van Sławno absolviert.

Und trotz der schweren Nachkriegszeit, war es die Zeit der sorglosen Kinderspiele, im Sommer Fußball, im Winter Schlittschuhe und auch Ausflüge an die Ostsee nach Darłowo.

Sławno. Während meines ersten Kontaktes lag die Stadt noch in Trümmern, aber die Strassen waren gepflastert, die Geschäfte geöffnet das Kino ebenfalls(oft besucht). auch die Sporthalle und Sportplatz mit Laufbahn, Freibad und Trampoline. Ich erinnere mich an die Kajakfahrten auf dem wunderbaren Kanal

und an den so heimatlichen Bahnhof mit drei überdachten Bahnsteigen, den ich oft von der Tischlerwerkstatt meines Vaters aus beobachtet habe.

Drum noch, ganze wichtig, die ersten wirklichen Freundschaften, mit sympathischen Menschen – Bekannte meiner Eltern und, und Erinnerungen ohne Ende.

Damals war alles so schön!

Schön war die Zeit, sie kommt nicht wieder!

Fundacja „Dziedzictwo” powstała w 1991 roku w Sławnie. Jej celem jest szeroko rozumiana ochrona zabytków archeologicznych ziemi sławieńskiej, a także ochrona krajobrazu kulturowego, którego częścią jest dziedzictwo archeologiczne. Działalność Fundacji polega na finansowaniu i organizacyjnym wspieraniu badań naukowych, publikowaniu i upowszechnianiu wyników tych badań, wspomaganie działalności konserwatorskiej, współpracy z władzami lokalnymi w aktywnej ochronie dziedzictwa kulturowego i włączaniu go w życie społeczne mieszkańców, prowadzeniu działalności popularyzującej zabytki i krajobraz kulturowy oraz uczestnictwo w procesie wychowania dzieci i młodzieży z położeniem nacisku na kształtowanie świadomości historycznej i szacunku dla świadectw przeszłości.

Od 2002 roku Fundacja wydaje serię pn. „Historia i kultura ziemi sławieńskiej” podejmującą problematykę procesów historycznych, kulturowych i przyrodniczych kształtujących przeszłe i współczesne oblicze ziemi sławieńskiej. Wszystkie publikacje Fundacji Dziedzictwo dostępne są na stronie: www.archeo.edu.pl/dziedzictwo

* * *

Fundacja „Dziedzictwo”
ul. Mielczarskiego 7/5, 76-100 Sławno
www.archeo.edu.pl/dziedzictwo

ISBN: 978-83-957115-5-8



9788395711558